Nr. 20. We Lwowie, Poniedziałek dnia 19 maja. 1890.

Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO”.

Z San Marino.

w Maju 1890 r.

Andiamo in republica? — zaprasza uprzejmy weturyno turystów zbaczających z utartego od lat wielu szlaku, by odwidzić Rimini, Przystajemy na jego propozycyę i ruszamy w drogę. Podróż trwa trzy do czterech godzin. Zaraz za Rimini rozpoczyna się wyniosłość stopniująca się nieznacznie aż do Monte Titano, na której rozsiadła się od wieków miniaturowa rzeczpospolita, cel naszej wycieczki. Przejeżdżamy przez mostek rzucony nad potokiem szumiącym w jarze i sto my już na terrytoryum rzeczypospolitej. Kraj i ludzie ciż sami, wegetacya nie zmieniła się w niczem, a jednak jakoś tu zupełnie inaczej. Czujemy, iż znaleźliśmy w przeciągu tych kilku godzin w innem zupełnie państwie, wśród innego społeczeństwa, rządzącego się osobnemi prawami, mającego swą odrębną historyę. Na pozór tylko nic się nie zmieniło. Przyjeżdżamy do Serravalle i tu uderza nasze oko napis na oberży: *Caffè della republica.*

Droga staje się coraz bardziej stromą. Dawniej musiano przyprzęgać w tem miejscu parę wołów, obecnie jest to rzeczą zbędną wobec wybornej drogi murowanej, kosztem rządowym. Skarb rzeczypospolitej nie jest wprawdzie zasobnym, lecz nie ma żadnych długów i dlatego gościńce tutejsze nie pozostawiają nic do życzenia. Przez liczne zakręty wśród skał i przepaś i zbliżamy się do Borgo, stanowiącego rodzaj przedmieścia stolicy. Borgo jest osadą handlową. Tu mieszkają kupcy, ogrodnicy, handlarze bydła i drobni przemysłowcy wszelkich kategoryi. Trafiliśmy właśnie na dzień targowy, więc też cała targowica przepełnioną była bydłem wszelkiego rodzaju i maści. Na obszernej *piazza*, wystawionej na palące żarem promienie słoneczne, stoją republikanie zbici w zwartą gromadę. Sprzedają, kupują, kłócą się i giestykulują zawzięcie. Z trudnością przeciskamy się przez te głośne tłumy, by dostać się do właściwego miasta *(la citta)* położonego o jakie 600—700 stóp wyżej nad poziomem przedmieścia. I tu wiedzie szeroki, wygodny gościniec. Gwar jarmarczny ucicha zwolna pod naszemi stopami, nad nami widnieje miasteczko ciche, spokojne, gdyby wyludnione. I nie dziw, że tu tak cicho, pogodnie. Obywatele nie płacą prawie żadnego podatku (takowy nie przekracza 1% od dochodu rocznego), nie mają pojęcia o długach, ani też o deficycie państwowym. Budżet państwowy nie przekracza sumy 75.000 zł. Milicya liczy 1000 ludzi zdolnych do broni, stała armia składa się z 60 najemniczych żołnierzy. Zaiste San Marino jest szczęśliwym kopciuszkiem wśród państw europejskich, wolnym od walk narodowościowych, wyznaniowych, socyalnych. Tak gawędziliśmy, krążąc po pustych uliczkach miasteczka, gdy nagle na ścianach domów przy głównej ulicy wyczytaliśmy sążnistemi zgłoskami wypisane wyrazy: *Vogliamo il suffragio universale!...* A więc i w tem miniaturowem państewku, liczącem zaledwo 8.000 obywateli, istnieją spory i namiętności polityczne. Widocznie więc rząd najbardziej idealny nie może się obejść bez opozycyi.

San Marino, mimo swych patryarchalnych stosunków, nie posiada dotychczas prawa ogólnego głosowania. Naczelną władzą rzeczypospolitej jest „wielka udzielna rada,“ złożona z sześćdziesięciu członków przy równem współudziale patrycyuszów, mieszczan i właścicieli gruntowych Rada ta wybiera wydział z swego grona, w skład którego wchodzi dwunastu członków. Wydział wybiera w pośród siebie dwóch kapitanów rejentów, których rządy trwają przez pół roku, nadto zaś jeneralnego skarbnika i dwóch sekretarzy stanu dla spraw wewnętrznych i zagranicznych. Piętą achilesową tej organizacyi, trwającej już od wieków, jest okoliczność, iż wielka rada uzupełnia się sama bez żadnego współdziałania ze strony ludności. Wybory do rady lub do reprezentacyi gminnej nie mają tu wcale miejsca. Jak więc widzimy, w konstytucyi San Marino przeważa pierwiastek arystokratyczny, przyznający prawa polityczne tylko klasom posiadającym; ogół ludności nie ma udziału w rządzie. Podział na wyższe i niższe warstwy społeczne jest tu tem widoczniejszy, że patrycyat mieszka w górnem mieście, podczas gdy mieszczaństwo i rolnicy kupią się w Borgo i w kilku jeszcze innych gminach okalających stolicę. W ostatnich czasach idea równouprawnienia politycznego przedostała się i do rzeczypospolitej — niższe warstwy domagają się słusznych swych praw. Zdaje się wszakże, że walka ta o prawa obywatelskie rozstrzygnie się na drodze ugodowej. Zdaje się na to wskazywać patryalchalny stosunek, zachodzący pomiędzy poszczególnemi warstwami tutejszego społeczeństwa. Zauważyliśmy to podczas naszej przechadzki po mieście, w ciągu której obdarty chłopak służył nam za przewodnika. Zapragnęliśmy oglądnąć salę posiedzeń wielkiej rady. Przewodnik nasz pobiegł do zarządcy budynku, który mu bez wahania powierzył klucze. W sali obrad nasz ulicznik był jakby u siebie w domu. Tłómaczył nam obszernie wszelkie szczegóły urządzenia. Oto tu — prawił - są siedzenia dla członków rady, te dwa krzesła w kształcie tronu nieco tylko podniesione, to miejsca przeznaczone dla kapitana-rejenta patrycyuszowskiego i mieszczańskiego. Oto

obraz św. Maryana z kielnią i z młotem, oto urna wyborcza, gałki do głosowania, popiersia Napoleona I i III. Słowem wszystko umiał wskazać i objaśnić nasz obdartus, podczas gdy staruszek zarządca, który dopiero później przywlókł się do sali, z dobrotliwym uśmiechem przysłuchiwał się potokowi wymowy wyrostka. W innym znów domu oglądaliśmy insygnia i galowe kostyumy obu kapitanów-rejentów. I tu nasz przewodnik nie dał przyjść do słowa zarządcy. Otwierał bez ceremonii oszklone szafy, wyciągając z nich starożytne, kosztowne szaty urzędowe, ordery i dekoracye. Urzędnik którego pieczy zlecono ten skarbiec, patrzył na to wszystko spokojnie — jak przystało na prawdziwego funcyonaryusza rzeczypospolitej. Nasz przewodnik, mimo łachmanów, które mu się trzęsły na grzbiecie, był zupełnie w swoim prawie. I on był współwłaścicielem wszystkich tych skarbów. Z jakąż dopiero dumą wywiódłszy nas na szczyt góry wskazywał wszystkie miejscowości należące do obszaru rzeczypospolitej. W tej chwili czuł się ich panem i to uczucie platonicznego komunizmu jest najlepszą gwarancyą istniejącego tu od wieków porządku rzeczy.

Jedną z najpotężniejszych osłon samoistnego bytu rzeczypospolitej są jej mikroskopijne rozmiary (179. kwadratowych kilometrów). Gdy Napoleon I jeszcze jako jenerał głównodowodzący we Włoszech zaproponował wielkiej radzie powiększenie terytoryum rzeczypospolitej, jeden z radców odparł mu bez wahania: „Jesteśmy małymi i takimi chcemy pozostać!" Biust tego człowieka ustawiono na honorowem miejscu w przedsionku gmachu rządowego. I słusznie, gdyż roztropny ten obywatel ocalił byt samoistny swej ojczyzny. Wolność tak małego kraiku nie może obudzić pożądliwości potężnych sąsiadów. A zresztą obywatele San Marino stają wytrwale w obronie swej niezależności. Oparli się szczęśliwie i Cezarowi Borgii i Kardynałowi Alberoniemu, który jako legat Rawenny, napróżno usiłował teroryzować San Marino swymi siepaczami. Jeden z wygnanych wówczas patrycyuszów pisał do swego syna: „Bądźcie dobrej myśli, gdyż San Marino *est vir magnus valde.*

I sprawdziły się jego słowa, gdyż mała rzeczpospolita przetrwała szczęśliwie najpotężnie sze kataklizmy dziejowe.

Kalewala.

(Dokończenie).

Co się tyczy bohaterów samych, to przedstawiają oni połączenie mitów z prawdą życiową w jedną — użyliśmy poprzednio tego wyrażenia i przy niem pozostajemy — monstrualną całość. To właśnie, że nie sama cudowność użytą została na materjał do ich utworzenia, że obok wyższej mocy wznoszącej ich na wyżyny bóstw prawie, posiadają także cechy prawdziwie ludzkie, ujęte i przedstawione z mistrzowskim w swej prostocie realizmem, — to właśnie czyni Wainämöinena, Ilmarinena i cały zastęp wybitnych bojowników z Pohjoli jeszcze groźniejszymi w oczach widza. Istni to giganci Północy w złem i w dobrem, tem zaś straszliwsi, iż mają jako narzędzie walki nietylko olbrzymie miecze u boku i bajecznie dalekonośne strzały w sajdakach. Gdzie broń ludzka nie pomoże, tam uciekają się oni do środków nadprzyrodzonych, usiłują wroga ubezwładnić czarem swych pieśni lub zaklęciem, którego on nie zna

W Kalewali odgrywa cudowność większą rolę, niż w którymkolwiek ze znanych eposów ludowych. Nie brak wprawdzie tego pierwiastku i Illiadzie np., ale w pieśniach Homerydów jest on więcej przetrawionym, występuje więcej pośrednio w rzędzie czynników akcji. W Kalewali natomiast mamy baśnie prastare zachowane w całej ich pierwotnej naiwności, w blasku, którego nie przyćmiewa refleksja, który przez soczewkę pieśni przechodzi nie rozłożony na swe składowe barwy. Jest tedy Kalewala przedewszystkiem produktem mitologii, — wielką, wspaniałą skarbnicą, przechowującą w sobie wierzenia przedhistorycznych Finnów. Obok tego jednak, obok baśni naiwnej z cechą do pewnego stopnia religijną, znajduje w niej także miejsce prawda dziejowa, przezierają przez nimbus fantazji zdarzenia rzeczywiste owej odległej przeszłości. Oddzieliwszy też jedno od drugiego, dojdziemy do przekonania, że wątku aktualnego dostarczyły pieśniarzom walki, które niegdyś staczali pierwotni Finnowie, naród rolniczy, z sąsiadami swymi Lapończykami przekładającymi myśliwstwo nad żmudną uprawę roli. Walki te prowadzone przez szereg położeń zakończyły się ostatecznie pogromem myśliwskiego narodu, czyli — jak go nazywa epopeja — szczepu Pohjoli.

W Kalewali naturalnie ma na sobie naga prawda barwny i błyszczący strój fantastyczny, dość jednak przezroczysty, aby odgadnąć, co się pod nim kryje. Celem walki jest tam Sampo, młyn cudowny, mielący równocześnie chleb, sól i złoto. Ów młyn więc staje się nagrodą zwycięskich Finnów, krórzy podobnie, jak Grecy o Troję długoletnie staczają o niego walki, zdobywa ją go jednak w końcu odmiennie, niż synowie Hellady, gród Pryama, bo męstwem i wyższych, tajemnych sił użyciem.

Zwycięstwo ich jest rolnictwa nad myśliwstwem tryumfem, łagodniejszej i wyższej pod względem intelektualnym cywilizacji nad barbarzyńską dzikością. Na tym punkcie Kalewala zrównywa się z sławionemi epopejami innych narodów, jakkolwiek charakterem swoim i treścią tak bardzo od nich jest różną.

Znakomity niemiecki badacz języków i piśmiennictw Max Müller tak się wyraża o niej:

„Finnowie są najbardziej rozwiniętym i umysłowo najwyżej stojącym szczepem wśród swych współplemieńców, a ich literatura daje dowód, iż stali dość wysoko pod względem cywilizacyjnym już w owych czasach, które nazywamy mitycznemi. Epickie ich pieśni, jakkolwiek niespisywane, przechodziły z pokolenia na pokolenia, już zaś i one noszą na sobie piętno wyrobionego języka i ustalonej rytmiki. Z ust starca zebrano epopeję, która co do rozmiarów, jak co do swej jednolitości równa się Illiadzie, która — jeślibyśmy nasze pojęcia umieli stosownie nastroić, wydać by się nam musiała niemal równie piękną, jak epos Homera. Fińczyk oczywiście nie jest Grekiem, a Wäinämoinen Homerem, ale jeśli mamy uznanie dla malarza, umiejącego czerpać swe barwy z natury i wlać życie w swe postacie. — to także Kalewali nie braknie tego piękna, jakie podziwiamy w Illiadzie."

Kilkakrotnie w ciągu naszego krótkiego szkicu mieliśmy sposobność wskazać źródło, z którego wzięła swój początek ludowa epopeja fińska. Płynęła ona swobodnie korytem wieków i generacyj, rosnąc i potężniejąc, bo ciągle nowemi zasilana dopływami. A — rzecz dziwna — w ciągu tylu czasów nikt nie pomyślał, aby w inny, pewniejszy sposób dalszą zapewnić trwałość temu, co wyspiewał z głębi swego serca i wspomnień geniusz ludowy. Dopiero z początkiem bieżącego stulecia znalazł się człowiek, który nie szczędził ani trudów ani mienia dla tego pięknego celu. Sympatja dla literatury ludowej, jaka wówczas opanowała nagle wszystkie umysły i jaka na naszem także z owych dni piśmiennictwie wycisnęła swoje piętno, — ta sympatja przedostała się snać z ognisk europejskiej cywilizacji aż daleko na Północ, aby i tam także spełnić swe doniosłe posłannictwo.

Znalazła ona rzecznika w osobie zasłużonego wydawcy Eljasza Lönnrotha. On to podobnie jak nasz Czarnocki, wzdłuż i wszerz przeszedł kraj cały, skrzętnie spisując pieśni ludowe, które jak się pokazało, były członkami jednej wielkiej całości. Zajęto się tedy ich uporządkowaniem i po kilkuletnich trudach i zabiegach mógł Lönnroth przystąpić wreszcie do wydania „Kalewali“. Pierwsza edycja okazała się w r. 1835.; drugą uzupełniono nowo zebranemi pieśniami tak, iż epopeja urosła do rozmiaru przeszło 20.000 wierszy, ułożonych w czterostopowe trocheje.

Francuzi pierwsi przyswoili „Kalewalę“ swojej literaturze. W ślad za nimi poszli Niemcy, chlubiący się także przekładem kolosalnej epopei, fińskiej, dokonanym mianowicie przez Hermana Paula, który pracę tę obrał był sobie za zadanie całego życia.

St. R.

Szara godzina.

(Urywek z większej całości).

Ostatnie już blaski słońca
Zgasły... Jak senne marzenie
Uszła dnia jasność w przestrzenie,
Gdzie ni początku ni końca.

Oto dokoła rozpina
Mistyczne prawie swe uroki
Wśród ciszy, wśród tej głębokiej
Tęskniąca szara godzina.

Od jaskrawości stroniąca,
Blaski i barwy niweczy
I nawet kształtom wszech rzeczy
Jak wyrazistość zamąca.

A jednak uśnie w widoku,
Czyniąc czas z sobą sprowadza;
Każdy kąt pusty jej władza
Ludzkiemu zapewnia oku.

Pośród ciemności i ciszy,
Gdzie głucho i pusto we snie,
Serce i dusza bezwiednie
Coś widzi, czuje, coś słyszy.

I nieraz powraca skrycie,
Choćby na przeciąg chwil krótki,
To, co przez ciosy i smutki
Na zawsze straciło życie...

Powraca, ogrzewa, pieści,
By znowu prysnąć po chwili
I dla tych, co się łudzili,
Powiększyć ogrom boleści...

St. Ross.

Skazany na śmierć.

Scena w loży teatralnej.

Niedawno ukazały się w Turynie pamiętniki sławnej Ristori, pod tytułem: *Ricordi e studi artistici di Adelaide Ristori*, z których podajemy jeden z najpiękniejszych ustępów.

W połowie września 1757 r. — pisze artyska — rozpoczęłam w Madrycie szereg gościnnych występów tragedją Medea. Wrażliwi hiszpanie przyjmowali mię z zapałem, stanowiącym najmilszą nagrodę dla artysty. Sala była przepełniona. W loży monarszej siedziała królowa Izabella; z żywem zajęciem śledziła ona przebieg gry i, nie tracąc jednego słowa, jednego ruchu artystów, co chwila objawiała swoje zadowolenie okrzykami i oklaskami.

Nazajutrz wystąpiłam w Marji Stuart, potem była Mirra, a w końcu września musiałam znów powtórzyć Medeę. Tego samego dnia miałam zdarzenie, które niestartemi zgłoskami wyryło się w mojem sercu.

O zwykłej godzinie udałam się do teatru W saloniku poprzedzającym moję garderobę zastałam innych artystów i zaczęliśmy rozmawiać o tym dziwnym a tak zajmującym kraju, w którym właśnie gościliśmy, o jego szczególnych zwyczajach i tradycjach.

— Czy nie mógłby mi kto powiedzieć, co znaczył dziś ten pochód z dzwonkiem? — zapytałam.

Odpowiedziano mi, że to członek bractwa chodził po ulicach i dzwonił, ażeby zbierać pieniądze na Msze, które się odprawią za spokój duszy więźnia skazanego na śmierć. Skazany, był to młody żołnierz nazwiskiem Mikołaj Chapado; uderzony przez sierżanta pochwycił za szablę, ażeby pomścić zniewagę.

— Siostra tego młodzieńca nie wiedziała o niczem — dodał ktoś inny — będąc w sklepie, usłyszała dzwonek bractwa i spytała, kto jest na śmierć skazany. Dowiedziawszy się, że to jej brat, padła na ziemię zemdlona.

To opowiadanie zasmuciło mię bardzo.

— Mój Boże! — rzekłam — kiedy my tu siedzimy spokojni i weseli, czekając na oklaski i tryumfy, tamten nieszczęśliwy liczy chwile, które mu jeszcze do życia pozostają.

Pożegnawszy towarzyszy, poszłam się ubierać. Niezadługo do salonu weszła deputacja z kilku osób złożona, żądając widzenia się ze mną. Odpowiedziano im, że niepodobna, gdyż wkrótce zacznie się przedstawienie; wtedy przedstawiono memu mężowi cel tych odwidzin. Szło o tego nieszczęśliwego Chapado. Mój mąż wszedł do mnie bardzo wzruszony i rzekł:

— Czy wiesz, że jutro mają rozstrzelać młodego żołnierza?

— Wiem — odpowiedziałam.

— Otóż mówią, że jego życie jest w twoim ręku... Jeżeli zechcesz, otrzymasz jego ułaskawienie.

Uczułam, że jakiś nieznany mi dotychczas dreszcz ciało moje przenika.

— Za chwilę przyjdą cię prosić o to — dodał — ten nieszczęśliwy wart jest współczucia. Od dziesięciu lat służby w wojsku nigdy nie był karanym. Sierżant, osobisty wróg

jego uderzył go w twarz wobec towarzyszy; Chapado sięgnął do szabli, ale jej nawet niewydobył. Za to został skazanym na śmierć. Królowa może go ułaskawić; rzuć jej się do nóg i proś o życie tego biedaka; ona cię lubi...

— Ależ czemże ja jestem w porównaniu z tymi, co daremnie błagali ją o tę łaskę?...

W tej chwili oznajmiono mi przybycie deputacji. Wyszłam, ale byłam tak pomięszana, że słowa więzły mi w gardle; przyrzekłam jednak uczynić co będzie w mojej mocy. W tem nowa przedstawiła się trudność; jenerał Narvaez książę Walencji, prezes ministrów, znany był z nadzwyczajnej surowości; obawiano go się i dlatego proszono mnie, ażeby bez jego wiedzy udać się do królowej.

Stanowczo oparłam się temu.

— Nie — rzekłam — znam jenerała Narvaez, to człowiek prawy i szczery, do niego więc najprzód zaniosę moję prośbę. Prosta droga jest zawsze najlepsza.

— Ależ pani zgubisz tego nieszczęśliwego.

— Czyż on nie jest zgubiony? — odrzekłam — proszę pozwolić mi działać.

Skłonili się w milczeniu i wyszli, pewni, że mi się nie uda.

Na szczęście prezes ministrów był w teatrze; posłałam go prosić. Był tyle uprzejmy, że stawił się zaraz na moje wezwanie, ale zauważył, że byłam niezwykle wzruszoną i pomieszaną.

— Panie jenerale — przemówiłam drżącym głosem, zapewniałeś mię niedawno, że niepotrafiłbyś odmówić mi niczego, błagam cię więc o łaskę dla tego nieszczęśliwego żołnierza, który ma zginąć jutro. Ogólne współczucie, jakie zbudziło się dla niego, przekonywa mnie, że wart jest ocalenia. Radzono mi, żeby pana pominąć i udać się wprost do jej królewskiej mości, ale wolę działać przez ciebie, panie jenerale; ty mię poprzesz, ty mi pomożesz uzyskać zezwolenie królowej

— Przykro mi bardzo, signora, ale to niepodobna — odrzekł książę — trzeba raz dać przykład surowości. Wszystkie rewolucje w Hiszpanii wszczyna zawsze wojsko. Niedawno było kilka wypadków tego rodzaju; ułaskawiono winnych i widzi pani, jakie są skutki. Dziś rada municypalna wstawiała się u królowej za skazanym żołnierzem, ale ja sam radziłem jej, żeby nie dała się wzruszyć. Jakże teraz mógłbym ją prosić o to?

Nie dałam jednak za wygranę i w końcu potrafiłam przełamać opór księcia.

— Zwyciężyłaś, signora — rzekł wzruszony. Staraj się otrzymać posłuchanie u królowej, będziesz mogła je uzyskać po pierwszym akcie. Rzuć jej się do nóg i proś o łaskę dla tego nieszczęśliwego, jak mnie prosiłaś. Królowa lubi cię bardzo; odpowie może, iż prezes ministrów jest temu przeciwny i odwoła się do mnie; ja wtedy poprę twoję prośbę i... kto wie... Miejmy nadzieję.

Nie byłam w stanie mu odpowiedzieć: uścisnęłam tylko jego rękę i pełna otuchy, kazałam prosić o posłuchanie.

Zaledwie wyszedł książę, wszyscy otoczyli mię z ciekawością i niepokojem:

— Cóż powiedział? — pytano — czy odmówił? czy zezwolił?

— Nie badajcie mnie, na miłość Boską! — odparłam gorączkowo — wkrótce wiedzieć będziecie...

Po pierwszym akcie wezwano mnie do królowej; poszłam drżąca i wzburzona.

Kazano mi czekać w saloniku przylegającym do loży królewskiej, kiedy w tem usłyszałam wrzawę i łkania. Dowiaduję się, że znów kołatano o łaskę do królowej, ale napróżno. Zastałam ją jednak bardzo wzruszoną i postanowiłam skorzystać z tego.

— Łaski! łaski dla nieszczęśliwego Chapado! — zawołałam, rzucając się do jej nóg i pocałunkami okrywając jej ręce —. ulituj się najjaśniejsza pani, nad biednym żołnierzem, który nie mógł znieść krwawej wobec towarzyszy zniewagi! Wszak miłosierdzie, to najpiękniejszy klejnot w koronie cesarskiej. Jeżeli wasza królewska mość raczy mieć dla mnie jakie względy, to wysłucha mojej prośby i przebaczy nieszczęśliwemu, który gotów będzie zginąć w jej obronie.

Rozczulona królowa odrzekła niepewnym głosem:

— Uspokój się, signora, radabym uczynić to dla ciebie, ale prezes ministrów jest temu przeciwny, powiada że. .

Ośmieliłam się jej przerwać, wołając:

Jeżeli wasza królewska mość zechce ułaskawić tego biedaka, książę Walencyi nie będzie miał serca sprzeciwiać się tak szlachetnemu czynowi.

Jenerał Narvaez zbliżył się wtedy i skinął głową na znak, że się zgadza. Królowa ścisnęła mi rękę i, podnosząc się, rzekła:

— Dobrze, signora... ułaskawię go na twoją prośbę.

Ucałowałam jej dłoń z wdzięcznością; radość tłumiła moje słowa.

— Prócz Medei inna jeszcze rozgrywała się tragedya — z uśmiechem rzekła do mnie królowa, ale ta przynajmiej zakończy się szczęśliwie.

Kazała sobie podać pióro i, podpisawszy ułaskawienie, oddała je adjutantowi, który natychmiast pospieszył z niem do więzienia.

Tymczasem wśród publiczności rozeszła się pogłoska, że udałam się do królowej prosić o życie biednego Chapado; liczny tłum czekał mnie z niecierpliwością na schodach.

Ułaskawiony! ułaskawiony! — krzyknęłam, zbiegając na dół.

Kiedy ukazałam się na scenie, wybuchnęła taka burza oklasków i krzyków, że długo nie mogłam słowa przemówić. Wznoszono wiwaty na cześć monarchini i na moje. Wskazywałam na lożę królowej; na znak, że jej tylko należy dziękować, ale ona była tak dobrą, że głośno zawołała:

— Nie! nie! to ona! to ona!

Królowej Izabelli zawdzięczam jeden z najpiękniejszych wieczorów mego życia; pióro którem podpisała ułaskawienie niewinnego człowieka, jest moją własnością i stanowi tak dla mnie, jak dla moich dzieci drogą pamiątkę szczęścia, jakiego wtedy doznałam.
